

W ramach wyprowadzkowych porządków, kilka miesięcy temu, z dawnego mieszkania wygrzebałem swoje stare szpargały. Ot, rzeczy jakich może od dekady nie widziałem, nie używałem, a w wielu przypadkach zdążyłem o ich istnieniu zapomnieć. Pośród nich, co typowe dla introwertyka, oczywiście także i książki. Te, które zostały pozostawione jako mniej istotne, cenne i których utratę stosunkowo łatwo byłoby przeżyć. Pochłaniane w całości w ciągu kilku godzin, zwłaszcza nocnych, kiedy to dom rodzinny się uspokajał i tempo życia spowalniało na tyle, że można było się wziąć za spokojną lekturę. Książki uznawane za wypełniacze, pozwalające miło spędzić czas, zamiast robienia czegoś innego - zadań do szkoły, obowiązków domowych czy grania na komputerze. Postanowiłem, że wezmę próbkę, sprawdzę co ja właściwie czytałem w młodości i w jaki sposób zmienił się mój odbiór tego przez lata. Do tej roli wytypowałem wyróżniającą się niemal odblaskowym kolorem okładki "Magię i złoto. Eseje" Isaaca Asimova.



Zbiór dzieli eseje legendarnego twórcy SF na kilka kategorii: część jest o fantasy, część o sprawach w ogóle pozaliteraturowych, kolejna o koniku autora - science fiction i wreszcie ostatnia, w której Asimov zdradza czytelnikom część tajemnic swojego warsztatu pisarskiego. Kategorie te oczywiście są dosyć luźne, bo eseista lubi czasem popaść w taką czy inną dygresję albo porównanie, które pozwoli mu na erudycyjną popisówkę. "Magia i złoto" po latach wypada tak sobie, nawet bardzo tak sobie. Może dlatego, iż o ile jest w sam raz dla geeka na początku liceum, chociaż też nie stanowiła wielkiego objawienia, jeśli ten chociaż trochę interesował się tematyką poruszaną przez Asimova, tak dla geeka bliżej trzydziestki w większości jest zbiorem oczywistości. Nie znaczy to, że pozabeletrystyczna twórczość Asimova się postarzała czy zdezaktualizowała - z pewnością w dalszym ciągu ma tę zdolność do inspirowania, by świat próbować postrzegać racjonalnie, wciąż możemy znaleźć w niej pochwałę, chociaż nie tak bezkrytyczną, nauki. Jego tyrada przeciw narzędziu, jakie stanowią testy mierzące iloraz inteligencji i wyciąganiu pochopnych wniosków na ich podstawie, wciąż jest trafna. Tyle, że powtarzana dzisiaj na wykładach okrojonej psychologii wykładanej na uniwersytetach, nie ma już dawnej świeżości.

Asimov-eseista sprawdza się jako ktoś, kto wyciąga do młodzieży dłoń, by wprowadzić ją w meandry akademizmu, pokazać ciekawość odkrywania i opisywania świata, dla kogoś kto już je zna, a ciekawości tej nigdy nie zatracił - cóż, niezbyt wiele ma do zaoferowania. Wciąż można jednak znaleźć trochę dzusu, ale dużo bardziej interesującą kwestią jest refleksja: jak wiele treści mogło się wchłonąć przy lekturze i zinternalizować? I tym właśnie chciałbym się teraz zająć.

## Nigdzie!

Podczas mniej nostalgicznej, niżbym się spodziewał, wyprawy w przeszłość natknąłem się na esej o utopiach. Twórca trzech praw robotyki zaczął tradycyjnie: od wyjaśnienia pochodzenia terminu, opisał zatem przypadek Tomasza Morusa...

*More nie miał jednak żadnych złudzeń co do rzeczywistego świata. Słowo "utopia" pochodzi od greckich ou ("nie") i τόπος ("miejsce"), co razem znaczy "nigdzie". Innymi słowy, More zdawał sobie sprawę, że ideał ten nigdzie nie zaistniał (a my wiemy, że jest tak do dzisiaj). W istocie jego książka opisująca idealne społeczeństwo posłużyła, mocą ostrego kontrastu, za narzędzie surowej krytyki rządzących jego czasów, w szczególności zaś władców rodzinnej Anglii, których rzecz jasna znał najlepiej.*

*Doszło jednak do całkowicie zrozumiałej pomyłki. Utopia, zgodnie z opisem, była tak cudownym miejscem, że nietrudno było usłyszeć w pierwszej sylabie zamiast ou greckie eu, które oznacza "dobry", przez co "utopia" zmieniało znaczenie z "nigdzie" na "tam, gdzie jest dobrze".*

...następnie zaś przebrnął jeszcze ciut do przeszłości, wspominając "Państwo" Platona i biblijny Eden jako wcześniejsze literackie egzemplifikacje tego konceptu. Zabrakło mu chyba tylko Arkadii, możemy go jednak rozgrzeszyć, bo gnając dalej, podrzucił nam pozycję Bellamy'ego - "W roku 2000", opowiadającą o Stanach Zjednoczonych pod rządami idealnego gabinetu socjalistycznego oraz "Walden Two" Skinnera

*w którym przedstawione zostało idealne społeczeństwo zarządzane według zasad inżynierii społecznej, będących ekstrapolacją skinnerowskich teorii psychologicznych*

Później powybrzydzał na potęgę, narzekając na niską wiarygodność i nikłą moc przekonywania czytelnika tych wszystkich pozycji, po czym, jak na orędownika SF przystało, przedstawił narodziny nowego nurtu utopii, w której to nauka i technika gra pierwsze skrzypce, poniekąd kompensując niedostatki moralne człowieka. Nie to jednak jest, moim zdaniem, najistotniejsze w jego tekście. Najciekawsze zarzuty wyprowadza z własnej pozycji pisarza a przez to i w jakimś stopniu dramaturga:

*Wszystko na co pozwala taka literatura, to opis rzeczonoego społeczeństwa i wyjaśnienie, w stosownie wyczerpujący sposób, jak dobre jest, jak doskonale sobie radzi i jak znakomicie przeciwdziała własnemu rozpadowi. Nie sposób jednak w ramach takich założeń umieścić żadnego dramatu, żadnych problemów, żadnego ryzyka, groźby katastrofy, wreszcie żadnej fabuły, która opisywałaby proces przewycięzania najmniejszych choćby zgrzytów [utopijnej maszynierii]. Jasne jest bowiem, że gdyby którakolwiek z powyższych rzeczy była dopuszczalna, utopia nie byłaby utopią. Stąd prosty wniosek, że historie utopijne są z natury potwornie nudne [...]*

*Opowieści utopijne są tak nudne, że praktycznie całkowicie paraliżuje to ich funkcję krytyki błędów i niedostatków istniejących społeczeństw. Czytelnik nie może porządnie wzruszyć się owymi usterkami, jeśli zasypia w trakcie lektury.*

Asimov zwraca następnie uwagę, że próbą ominięcia tego problemu, było tworzenie dystopii:

*A jednak czysto dystopijne opowieści są równie nudne i nieznośne jak jednoznaczne utopie. Weźmy pod uwagę najsylniejszą ze współczesnych czysto dystopijnych historii, mianowicie "Rok 1984" George'a Orwella[...]. Osobiście uważam tę książkę za koszmarne wręcz kiepską. Udało jej się zrobić wielką karierę tylko dlatego (moim zdaniem), że poniosła ją fala nastrojów zimnowojennych w Stanach Zjednoczonych.*

*Czysta utopijna opowieść potrafi grać tylko na jednej strunie: "Czyż to nie wspaniałe... wspaniałe... wspaniałe?" Czysta dystopia podaje wciąż tę samą nutę: "Czyż to nie okropne... okropne... okropne?" Nie da się w ten sposób napisać żadnej melodii."*

Jako rozwiązanie Amerykanin podaje trzymanie się z dala od takiej jednoznaczności. Zwraca uwagę na "Raj utracony" Milтона (ja pier... już automatycznie chciałem dopisać... Friedmana), w którym o ile autorowi udaje się stworzyć interesującą wizję Pieła, w jakiej nie mamy czystej dystopii, z tego powodu, iż Szatan ma w sobie cząstkę dobra, jaką stanowią wyrzuty sumienia, o tyle w przypadku Nieba, panuje w nim absolutna nuda:

*nie istnieje bowiem technika literacka pozwalająca sensownie przedstawić zagrożenie władzy wszechmocnego i wszechwiedzącego Boga. Mówiąc krótko: dystopia Milтона nie jest czysta, utopia - tak.*

Dzisiaj powiedziałbym więcej - nie tyle nie istnieje technika literacka, co nawet logiczna możliwość takiego zagrożenia, w przypadku gdy woła Boga jest utrzymanie swojej władzy. Już a priori jest ono niemożliwe.

Rzecz jasną jest, iż nie będę miał stuprocentowej pewności przy określaniu wpływu autora cyklu "Fundacja" na moje poglądy. Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę jednak mniemać, że w przypadku eseju zatytułowanego "Nigdzie!" jednak miał. Sąd ten opieram na przeświadczeniu, że nigdy wcześniej, ani też później nie pochylałem się specjalnie nad tematyką utopijności, jednak dzisiaj moje stanowisko w jej kwestii jest prostym przedłużeniem tego, co miał o niej do powiedzenia Amerykanin. Staram się jej unikać za wszelką cenę, bo jest dramaturgiczną śmiercią: utopijne wizje są koszmarami, o których nie chce mi się nawet czytać, a co tu dopiero mówić o możliwości ich urzeczywistnienia i stanie, w którym musiałbym żyć.

Utopia czy dystopia – to bez większego znaczenia. Dla mnie obie są jednakowo dystopijne, pomimo odmiennych założeń. Dlatego też zorganizowane religie, ich obietnice i nadzieje jakie żywią ich wyznawcy, są dla mnie zdecydowanie przekleństwami, nie oferują w zamian za ich wyznawanie niczego, poza jakimś docelowym stanem, którego nie będzie można zmienić. Klatkę, z której nie będzie można wyjść. Ograniczają wolność zarówno w tej, a jeśli ich treść jest prawdziwa, także w przyszłej formie egzystencji. To, co niesie innym ludziom (najprawdopodobniej pozbawionym szerszej perspektywy) pocieszenie, dla mnie stanowi przerażającą wizję. Bo taką jest myśl, że moja istota, trafi w nie-miejsce, w którym albo będzie w nieskończoność chwalić Boga i śpiewać maryjne piosenki, albo będzie w tą samą nieskończoność dawać dupy stadom demonów (żeby to jeszcze jakimś rozsądnym sukkubom) jest jednakowo upiorna i odpychająca. W ten sam sposób niweczy sens nagrody czy kary. Zabija jakąkolwiek wartość czynu, unicestwia wszelkie stawki, uniemożliwia dalszego

stawiania celów, osiągnięcia zwycięstw i przeżywaniu porażek. Jest zabrnięciem w ślepy zaułek, z którego nie ma wyjścia. I w przeciwieństwie do ostatecznego unicestwienia, jest się tego świadomym.

**Mary Sue saves the day again... and again... and again... and again... and again... oh sweet Jesus and you, powerful Godzilla - I beg you - stop her, please... make her stop!**

Skoro siedzimy w tematyce fantastyczno-dramaturgicznej, może wypadłoby tę sprawę fabularnej nędzy utopistów ująć bardziej współcześnie. Powszechnym zjawiskiem jest dzisiaj pisanie tzw. fanfików. Najkrócej rzecz ujmując, są to nieoficjalne opowiadania, dotyczące istniejącego już kulturalnego fenomenu, bez względu czy jest nim książka, gra, film, sztuka teatralna czy cokolwiek innego, tworzone przez miłośników danego fenomenu i najczęściej stanowiące jego rozszerzenie lub alternatywną wersję. Fani tworząc fanfiki, zapożyczają wykreowany przez kogoś świat i reguły nim rządzące, także bohaterów. Równie często jednak tworzą i umieszczają w nim postaci swojego autorstwa. Jako że tę egalitarną rozrywkę uprawiają także ludzie, nie mający zielonego pojęcia o tworzeniu postaci, często dopiero rozpoczynający swoją przygodę z pisarstwem w ogóle, fanfiki stanowią dla nich niejako wprawkę. Bardzo często przy ich pierwszych próbach zmierzenia się tą trudną, twórczą materią, efektem końcowym jest marysuizm.

Marysuizm generalnie polega na tworzeniu bohaterów wyidealizowanych. Nie tyle może szablonowo archetypicznych, co raczej grotesko sztucznych i przede wszystkim odbierających autorowi pole manewru kreowania interesujących fabuł, opartych na zwrotach akcji, a czytelnikowi - jakkolwiek element suspense. Typowa Mary Sue wyeksponowane posiada wszelkie zalety, zatem rzucanie przed nią spiętrzających się trudności i tak nie ma żadnego sensu, bo z góry wiadomo, że sobie z nimi poradzi. Nie ma też jakichś szczególnie dokuczliwych wad, które by ją ograniczały, sprowadziły na złą drogę, uniemożliwiły bądź utrudniły osiągnięcie powziętego zamierzenia, co zabija jakkolwiek sens interesowania się jej losem, z góry przecież wiadomo, że się jej uda. Generalnie problemem tych postaci jest ich skrajne niezbalansowanie. Bardzo często, jak się teraz okazuje, Mary Sue stanowi wyidealizowaną postać samego grafomana przy piórze (czy klawiaturze), który może dać szybko upust swemu ego i postawić swej próżności pomnik trwalszy niż ze spizu, w ukochanym przez niego świecie przedstawionym.

Oczywiście ten problem nie dotyczy tylko i wyłącznie amatorskiej pisaniny. Mamy z nim do czynienia także u części 'profesjonalistów'. Typowymi Mary Sue są Superman, jak i w sumie większość amerykańskich superbohaterów, obdarzonych jakimiś ubermocami, dla których później trzeba tworzyć balast analogicznie super czarnych charakterów, żeby mieli rzucone jakiegokolwiek kłody pod nogi, James Bond czy całe masy protagonistów serii w stylu "zabili go i uciekł". Część osób zwraca uwagę, że startrekowy kpt. Kirk także wpisuje się w tę kategorię, aczkolwiek ja mam poważne wątpliwości, czy można go z czystym sercem za taką kreację uznać. Zalety Kirka często przemawiają jako wady, jest kobieciarzem i typowym action manem, ale często przez to popada w różne tarapaty i generalnie dzięki takiemu określeniu, komplikuje fabułę treków, zamiast ją zarzącać łatwym rozwiązaniem. Z całą pewnością jest postacią wyidealizowaną, tyle że zaprojektowaną dość nietypowo, mianowicie sprowadzoną do funkcji przywódczo-decyzyjnej. Co charakterystyczne w Star Treku (ze starą załogą), zamiast ludźmi (bądź Wolkanami) postaci są raczej personifikacjami funkcji jakie pełnią.



W uproszczeniu: USS Enterprise stanowi niejako organizm, nad którym pieczę sprawuje trio Kirk-Spock-McCoy. Każdy z nich pełni jakąś funkcję - Spock jako oficer naukowy symbolizuje aspekt poznawczy statku, McCoy jako lekarz darzący troską nawet ginących masowo noname'owych redshirtów, ale też i kosmitów, czyli kogoś spoza okrętu - empatyczno-moralną, Kirk natomiast jako kapitan uzgadnia aspekt moralny z poznawczym i ogólnie decyduje o kierunku działania, zazwyczaj kompromisowym, odebrawszy informacje z obu tych źródeł, często sprzecznych i walczących między sobą o prymat. Koordynuje odpowiednio dążenia Spocka i McCoya, ustalając aktualne priorytety. Każdy z tych bohaterów solo żadną Mary Sue nie jest i być nie może. Często z powodu swoich ograniczeń i zredukowania do wymienionej funkcji, w pojedynkę nie jest w stanie udźwignąć wagi sytuacji w jakiej się znajduje; stąd Kirk bez wiedzy Spocka i sumienia McCoya też bywał odpałowy. Dopiero w kupie, grając swoją rolę, ten tercet w jakimś sensie staje się zbiorową Mary Sue, która jest w stanie wyjść z każdej opresji. Zbytnią tego łatwość można z kolei opóźnić, rozdzielając lub od czasu do czasu, konfliktując ze sobą protagonistów. Ta ich papierowa konstrukcja stanowi raczej celowy zabieg moralizatorski, niż niedostatek wynikający z nieumiejętności pisania postaci. Zresztą starego Treka, mimo tego uporczywie kolektywisteczno-komplementarnego przesłania, da się obejrzeć, natomiast lektura wielu fanfików graniczy z niemożliwością, z całą pewnością zaś wypełnia znamiona natrętnego masochizmu.

Nawiązując do "Raju utraconego", który przytoczył Asimov, czy w ogóle tradycji teologicznej judeochrześcijaństwa, mogę wspomnieć, że JHWH w moim rankingu to Mary Sue wszechczasów. Nie ma żadnych możliwości upadku, ani też doskonalenia się, co zazwyczaj stanowi kanwę jakiejś narracji. Ponieważ jest wyekspiony na maksa, każda jego cecha jest wybajerowana w kosmos albo i dalej, generalnie nie istnieje żaden sensowny, wewnętrzny lub zewnętrzny motyw działania. A Bóg jest osobowy. Nie można być bardziej wiedzącym niż wszechwiedzącym, bardziej zdolnym niż omnipotentnym. Nie dziwię się myśli Mainlandera, naprawdę. Wy też nie powinniście.

**I żyli długo, szczęśliwie i dostatnio, ale co najważniejsze: poświęcając się celom, jakie MNIE, MNIE, MNIE, Wielkiemu Myślicielowi, się podobają, dążąc do nich sposobami które określiłem JA, JA, JA, Wielki Myśliciel!**

W Wikipedii przy haśle „Mary Sue”, możemy znaleźć odnośnik do testu, którym twórcze dusze fandomu (w tym wypadku fandomu Gargoyles, którego marki absolutnie nie kojarzę, to chyba nic z moich czasów, nie chce mi się nawet sprawdzać co to takiego), mogą przetestować własne kreacje lub kreatury pod kątem oryginalności i balansu. Jest to swoisty wykrywacz marysueizmu popełnionej postaci, świadczący o ewentualnej grafomanii autora (lub w tym wypadku częściej - autorki, z tego co zdążyłem się zorientować). Pomysł jest prosty i jak to często bywa w takich przypadkach, także genialny. Pozwala na autodiagnozę i nie zamęczenie literackiego świata kolejnymi niezniszczalnymi protagonistami o mentalności dorównującej złożonością cepowi, dążącymi do tych samych celów i z łatwością je osiągającymi. Jak sądzę, należałoby pójść jednak trochę dalej.

Przydałoby się, na jego bazie zrobić podobny test, tyle że dla ludzi parających się filozofią polityki. Wszelkiej maści utopiści z wielką obietnicą uszczęśliwienia ludzkości, w istocie są nikim innym jak jedynie grafomanami tworzącymi swoją Mary Sue, następnie brandzłującymi się na samą myśl o jej świetności. Z tą różnicą, że w ich wizji jest ona personifikacją całego społeczeństwa, jeśli nie od razu gatunku. Bohaterka jest zbiorowa, ale identycznie idealna, niezbalansowana, kompletnie odrealniona, sprowadzona do paru wysoce stężonych wartości i ostatecznie - nudna. Istnieje też druga różnica: w przeciwieństwie do grafomanów fandomowych, ci już roszczą sobie prawo do urzeczywistnienia ich wizji, domagają się i tego oczekują, zbierając swoich popleczników. A my, zamiast potraktować ich jak każdego, kto nie potrafi pisać, czyli albo polecając im tworzyć takie głupoty do szuflady i nikomu więcej nie pokazywać, albo tłumacząc dlaczego to się nie nadaje, jest złym pomysłem - jeszcze się tym jaramy!

Ktoś mógłby uznać, że istnieje zasadnicza różnica: o ile w fikcji oczekujemy między bohaterami jakichś zgrzytów, trudności piętrzących się przed nimi, sprzecznych interesów, konfliktów, rywalizacji, sukcesów i porażek, adrenaliny, burzliwego rozwoju wewnętrznego i elektryzującej narracji, o tyle od ładu społecznego żądamy czegoś zupełnie przeciwnego: bezpieczeństwa, stabilizacji, zorientowania wokół konkretnego planu. Tyle, że to bzdura. Dowodem tego są chociażby "ustawki", organizowane gdzieś w plenerze bójki pseudokobiców, którzy umawiają się na swego rodzaju turniej. Ludzie strasznie dziwili się, gdy wśród ustawkowiczów odnajdywano osoby wykształcone, pełniące jakieś nobliwe funkcje, z wysoką pozycją społeczną, a jednak okładające bezlitośnie wrogów, walczące ramię w ramię z jakimiś degeneratami ze świata przestępczego, w imię barw lokalnego klubu. Tymczasem jeśli przyłożymy do tego dramaturgiczną miarę, sytuacja stanie się zrozumiała. Ludzie nie chcą żyć w żadnych ciepłych bajkach utopii, chcą się realizować w wybrany przez siebie sposób, odróżniając się od innych, czasem zwyciężając ich w taki sposób. Dla ustawkowiczów obecny stan w którym osiągnęli swoją pozycję, stabilizację i majątek już poniekąd stanowił jakąś utopię. Z pewnością cieszyli się z wszystkiego co im zaoferowała, ale czy jednak na tym poprzestali i żyli zgodnie z jej regułami (prawem)? Nie. Przekroczyli je. Dlatego, że nie zaoferowała im tego, na co naprawdę mieli ochotę, albo na co zdążyli nabrać ochoty - na realizację siebie w formie jakiej utopia nie przewidywała, bądź nie chciała wyrazić na nią zgody. Jako współczesnych Rolandów, dających w róg, broniących się w weekend przed hordami okrutnych wrogów, zasłaniających sztandar, wykazujących się męstwem w obliczu zagrożenia (którego utopia nie oferuje): nie chcieli o tym jedynie czytać, oglądać filmów czy grać - chcieli to przeżyć, być takimi naprawdę. Mieli dość eskapizmu o takiej treści, tę treść przenieśli do rzeczywistości.

Żadna utopia nie jest w stanie osiągnąć swojego celu, jakim jest zapewnienie ludzkości szczęścia. Gdybyśmy pamiętali o prakseologicznej podstawie; że człowiek działa, nie gubilibyśmy z pola widzenia tej prawdy. Szczęście znajduje się tam, gdzie upatrują go ludzie - nie da się go zakląć w jakiejś jednej wizji życia społecznego, bo ludzie są istotami dynamicznymi; osiągając jakiś cel lub stan, szukają kolejnego, do którego znowu będą mogli dążyć. Bo a nuż, może tam znowu znajdą szczęście, które jakoś utracili chwilę po tym, gdy zamajaczyło im tu, gdzie za nim podążyli. Gdyby nawet jakimś cudem udało im się zrealizować czyjąś utopię i tak ostatecznie by ją opuścili, bo na dłuższą metę byłaby nie do zniesienia: bo już tu byli, już ją widzieli, chcą czegoś innego poza stagnacją, jaką ma im do zaoferowania.

Niewątpliwie dopatruję się tutaj asimovskiego wpływu. Gdy ktoś mnie pyta, czy uważam swoją propozycję indywidualistycznego propertarianizmu za utopię, podobnie dokonuję rozróżnienia między ou-topią i eu-topią. Moje stanowisko jest ou-topijne, bo nie miało miejsca w historii i nie zostało nigdzie zrealizowane. Natomiast nie jest eu-topijne. Nie gwarantuje nikomu szczęścia, nie roztacza wizji jego powszechności. Jedyne co zapewnia, to możliwość jego swobodnego poszukiwania w wybranych przez siebie kierunkach, także tych, które w większości innych propozycji łądów społecznych są niedopuszczalne. Maksymalizuje wolność działania, nie dba jednak o eudajmonię. Możemy sobie z łatwością wyobrazić w nim ludzi, nie wiedzących czym szczęście dla nich naprawdę jest oraz jak je osiągnąć, którzy z całej tej swobody skorzystają w sposób, który uczyni ich nieszczęśliwymi. Którzy poświęcą środki i czas, dążąc do wymarzonych przez siebie utopii, mając możliwość lokalnego ich urzeczywistnienia, tylko po to by przekonać, że zbudowali tam dla siebie i swoich gości piekło. Mnie nie zależy na szczęściu ludzkości i prowadzeniu jej do niego za rączkę, a jedynie swobodzie, nawet jeśli miałyby unieszczęśliwiać. Indywidualistyczny propertarianizm opiera się bowiem na koncepcji wolności, która nieuchronnie prowadzi do najbogatszego ontologicznie świata. A zatem świata, w którym istnieje także cierpienie i może tętnić ono we wszystkich formach. Usunięcie cierpienia wcale nie sprawiłoby, że świat stałby się lepszy. Zabrakłoby w nim bowiem i tej części piękna, które w cierpieniu znajduje swój początek. Nie powstałaby klasa utworów opisujących je, a pośród nich i te o wielkiej wartości estetycznej. Ani klasa szlachetnych czynów, dokonywanych przez ludzi, na których cierpienie innych

wywiera wpływ, któremu się sprzeciwiają i pragną nieść pomoc jego ofiarom. Jedno jest zależne od drugiego - aby maksymalizować dobro i piękno, trzeba też maksymalizować zło i brzydotę. Im więcej wolności, tym bliżej całkowitego nasycenia w jedno i drugie.

Moja propozycja nie dba o eudajmonię, to prawda. Przynajmniej nie tę naiwnie projektowaną przez technologię czy rozwiązania polityczne. Postuluje w jakiejś części świat dużo bardziej brutalny i okrutny, w innej z kolei bardziej subtelny i łagodny, a gdzieś tam dokładnie taki sam jak ten nasz dzisiejszy. Jednakowo silne prawo do decydowania o jego kształcie daje ludobójcom i tyranom, co i świętym oraz filantropom. Zatem już w samych założeniach unika groźby bycia nieznośną dystopią, jak i równie niedopuszczalnie nudną utopią. Jest w sam raz. Świat bogatszy ontologicznie, z takim też społeczeństwem, nie jest moralnie lepszy ani gorszy - jest po prostu bardziej urozmaicony, ciekawszy - podobnie jak książki, w których występują dobrze napisani bohaterowie.

### Epilog - jak robić czytelnikowi dobrze.

Jeśli ktoś czyta ten tekst, głównie dla wtrętu literackiego i chciałby dla odmiany wiedzieć, jak moim zdaniem, powinno się kreować postaci, moją jedyną radą na początek byłaby ta: tak, aby autorowi pozostawiały mnóstwo swobody w kierowaniu fabułą. Nie ma jednej szkoły. W zależności od charakteru intrygi, można robić to w różny sposób. W książkach Asimova i innych dawnych mistrzów science-fiction, najczęściej postaci nie są szczególnie dobrze zarysowane. Jak sam Isaac przyznał, on preferował:

*wykorzystać intrygę w charakterze nośnika idei. Postacie przedstawić jako protagonistów o odmiennych sposobach życia i wizjach świata, a osi fabuły uczynić konflikt, w którym każda ze stron próbuje narzucić drugiej - perswazją lub przemocą - swój światopogląd. Aby przedsięwzięcie to odniosło sukces, strony konfliktu powinny zdradzić swe wizje świata (myląc stronę przeciwną, lecz nie czytelnika), czytelnik zaś faworyzować tę lub inną stronę (zwycięstwo jednej nie może pozbawić go efektów wynikających z suspense). Gdy uda się wykonać to perfekcyjnie, żadna ze stron nie będzie personifikowała ani bieli, ani czarni, lecz tylko dwie szarości różniące się odcieniem tak nieznacznie, by czytelnik nie potrafił ostatecznie wybrać między nimi, ale musiał się zastanawiać i sam wyciągać wnioski. W moich książkach znajdziecie dużo tak właśnie skonstruowanych wątków fabularnych, ponieważ ten sposób pisania uważam za najcelniejszy.*

Istnieje wiele jeszcze sposobów konstruowania fabuły, lecz najważniejsze to pamiętać, że nie wykluczają się one nawzajem. Powieść humorystyczna może na przykład przekazywać jak najbardziej poważne idee i jednocześnie zawierać interesujące charakterystyki postaci.

Z drugiej jednak strony pisarz może, mniej lub bardziej świadomie, poświęcić pewne elementy konstrukcyjne fabuły po to, by jak najprecyzyjniej zrealizować zasadniczy zamysł. Mnie na przykład do tego stopnia zależy na przedstawieniu konfliktowych idei, że nie czynię żadnych poważniejszych wysiłków, by tworzyć błyskotliwe wizerunki postaci albo zalewać opowieść powodzią humoru. Dużo już powiedziano o "papierowych postaciach" z moich książek i o ich "przegadaniu". Oskarżenia takie wychodziły jednak spod piór krytyków, którzy nie zrozumieli (dlatego, być może, że zabrakło im inteligencji) moich zamiarów.

Jednak to rozwiązanie obciążone jest zasadniczą wadą. O ile dobrze ilustruje się za jego

pomocą heglowskiego ducha historii, kierującego całymi społeczeństwami oraz znakomicie opisuje się za jego pomocą proces zmian bądź przełomów, dotyczących ogromnych rzesz ludzi czy innych istot, bohaterowie stają się jedynie jego nieokreślonymi manifestacjami. Ich miejsce mógłby zająć ktokolwiek inny i nie byłoby żadnej różnicy. Opowiadania Asimova czytałem jakieś 10-12 lat temu, staram się teraz przypomnieć chociaż jednego opisanego w nich człowieka... i... nie umiem. Nic, zero. Pamiętam clou części z nich, ale za cholerę nie umiem Wam wskazać kogo dotyczyły i dlaczego powinniście się zainteresować jego losem.

Tymczasem umiejętne, wiarygodne określenie postaci, potrafi dać punkt wyjścia dla kreacji prawdziwego samograja. Czy sądzicie, że ludzie są w stanie wysiedzieć osiem sezonów serialu tak schematycznego, jak gra Grecji na ME 2004, opowiadającego o zdolnym, aczkolwiek aspołecznym lekarzu pracującym w szpitalu w New Jersey, dla samych zagadek medycznych? Z całą pewnością, "House M.D." sprowadza przed telewizory sporą liczbę hipochondryków, wciąż i wciąż diagnozujących u siebie tocznia, jednak jego fenomen opiera się na sprytnie wybranych dramaturgicznych niciach, których zawsze jest kilka, wszystkie natomiast biorą swój początek od centralnej postaci i jej cech. Greg House ma bardzo jasno określone swoje silne, ale też słabe strony, często zresztą w jego przypadku, jedne okazują się być drugimi i vice versa. Na przykład, ta sama ciekawość, napędzająca go w pracy zawodowej potrafi sprawić, że w niewybredny sposób będzie testował swoich współpracowników bądź przyjaciela - Wilsona, sprawdzając z jakiej gliny są ulepieni. W sferze zawodowej inteligencja będzie służyć mu konstruktywnie, do rozwiązywania zagadek, w innej - prywatnej, destruktywnie, do komplikowania sobie życia i generowania w otoczeniu nowych napięć. Serial więc w głównej mierze opiera się na balansowaniu House'a nad krawędzią, testowania wyrozumiałości oraz cierpliwości szefostwa, wojenkach o władzę i swoją autonomię, zmaganiu się ze swoim kalectwem, zarówno fizycznym jak i emocjonalnym czy narzucaniem innym swojego światopoglądu, etc.





"House M.D." wzoruje się na innym samograjcu, cyklu opowiadań o Sherlocku Holmesie (sprawdźcie ile kolejnych powstało jego kontynuacji, adaptacji, ekranizacji, "cytowań", jeśli wahacie się nazwać go samograjem) i dodatkowo wykorzystuje dramaturgiczne nieużytki swego poprzednika. Na przykład, Sherlock Holmes był wolnym strzelcem. Nic dziwnego zresztą, zważywszy na jego trudny charakter, ale o ile ciekawiej byłoby, gdyby nie miał takiej swobody i był zmuszony do liczenia się z hierarchią. Owszem, Holmesowi londyńska policja także wchodzi w paradę, jest zmuszony pierwszeństwo oddawać Lastrade'owi, ale to raczej uprzywilejowany i na ogół niegroźny konkurent w śledztwie, a nie ktoś, kto ma bezpośrednią władzę nad bohaterem, który mógłby go odciąć od pensji. Holmes miał dość ograniczony kontakt ze światem, nie był zmuszany do zbytnej z nim integracji. House'owi więc dorzucimy upierdliwych pacjentów w przychodni, niech się zmagają. Albo, pełniej wykorzystajmy motyw niepełnosprawności i uzależnienia, grając tutaj na jakieś nutce nadziei na poprawę. Relacja Holmesa i Watsona też jest dosyć sielankowa, znajdziemy więc sposób, żeby House był dla Wilsona bardziej irytujący, i żeby wynikało to wiarygodnie z jego charakteru. Taki "Sherlock na sterydach" ułatwia twórcom skupienie zainteresowania publiczności, bo jeśli akurat wyczerpią napięcie w jednej jego sferze życia, zawsze są w stanie zgrabnie przejść na inną, która pozostawała w tle. A ponieważ jest ich przynajmniej kilka, trudno wyczerpać potencjał. Kiedy to już nastąpi, można zmienić bohaterowi: albo otoczenie, albo dać nowych partnerów, których będzie musiał znowu odkryć, dotrzeć się z nimi i przebrnąć przez kolejną porcję konfliktów.

Niestety, umiejętność pisania takich postaci wymaga już jakiejś wiedzy o ludzkich charakterach, motywacjach i skłonnościach. Jeśli nie ma się zbytniego talentu do obserwowania, zawsze można się posłużyć jakimiś typologiami osobowości, w których rozpisane są charakterystyczne ich cechy, także jako listy zalet i wad. Można więc skorzystać z nich jak z form, z których odlewać się będzie swoich bohaterów, mając pod ręką kompletną listę ich mocnych i słabych stron. Mając do dyspozycji ich słabe strony, jesteśmy w stanie dobrać odpowiednio bolesne dla nich przeciwności losu, z jakimi będą się zmagać, natomiast ewentualne zwycięstwa odnosić będą, dzięki swym zaletom i talentom. Lub zbiegom okoliczności, wygenerowanych przez czyny innych bohaterów, wynikające z ich osobowości.

Inną metodą może być redukcja bohaterów do ich interesów, głównych celów do jakich będą dążyć. Najczęściej mamy z nią do czynienia w komediach omyłek, w których gromadzi się kilka postaci, ogranicza możliwość osiągnięcia przez nich wybranych celów poza własnym gronem. Ostatnio w mainstreamie z tym sposobem mieliśmy do czynienia w przypadku serii "Piratów z Karaibów" ([dodatkowo bardzo przemyślnie opartym na teorii gier](#)). Kiedy się uda, zyskujemy możliwość formowania gwałtownie zmiennych sojuszy między nimi, zdrad, zwrotów akcji i nieustannej redefinicji środków do osiągnięcia ostatecznego celu. Tyle, że tutaj także postaci będą dość "papierowe", jak u Asimova, a tempo w jakim toczyć się będzie akcja nie będzie sprzyjało pogłębianiu ich charakterystyki.

Można także postawić na archetypy, zwłaszcza gdy zamierzamy pisać coś w stylu mitu. W klasycznych „Gwiezdnym wojnach” wypaliło to bardzo dobrze. Generalnie więc wypadałoby wiedzieć co chce się pisać, dla kogo i w jakim celu. Jeśli ma się tę wiedzę, problem marysuizmu nie istnieje. Stawiam więc tezę, że twórcy utopijnych wizji, (poza tymi którzy traktują je jako krytykę nie wprost aktualnego stanu rzeczy, stosowaną do przebrnięcia przez cenzurę), nie wiedzą po co piszą, dla kogo piszą oraz jak niestrawne to jest dla kumatych.

P.S. A dlaczego utopiści tworzą akurat zbiorową Mary Sue, a nie Gary'ego Stu? Odpowiedź na to jest prosta: jak śpiewał Ian Anderson, społeczeństwo jest kobietą.